DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

ROK III. 1. PAŹDZIERNIKA 1927. № 17.



AVE MARIA.

Przez cichy obszar zżętych pól
Z pajęczą przędzą płynie
Rozkołysanych dzwonów pieśń,
Co dźwięczy po dolinie.
Ave Maria...

Na liściach drzew, na kępach traw
Zwisają łzy deszczowe,
Jak rozsypane poprzez świat
Paciorki różańcowe.
Ave Maria...

A kiedy milknie dwonów pieśń,
To niebo się otwiera,
Idzie Królowa pośród pól
I swe „Zdrowaśki“ zbiera.
Ave Maria...

H Szreniawa

MISJE NA SYBERJI.

W poprzednim artykule (Nr. 14/15) zapoznaliśmy się z obecnym stanem Kościoła katolickiego na Syberji. Jest on polskim, gdyż duchowieństwo jest polskie i służy przedewszystkiem potrzebom religijnym Polaków. Polacy jednak na Syberji stanowią znikomą mniejszość, to też o misji w ścisłem tego słowa znaczeniu mówić nie można, bo dotychczas nie pracowano nad pozyskaniem nowych wyznawców, co najwyżej przygotowywano tylko do tego grunt. To ograniczenie działalności Kościoła katolickiego na Syberji było spowodowane ostremi zarządzeniami byłego rządu carskiego, który różnemi sposobami prześladował katolicyzm. Wprawdzie obecne położenie tamtejszego Kościoła jest w dalszym ciągu bardzo ciężkie, może nawet w niektórych szczegółach jeszcze cięższe, ale bądź-co-bądź skruszał ten pozornie niezłomny łańcuch caryzmu skuwający całe b. państwo rosyjskie, a wobec tego zaświtała nadzieja szerszej pracy. Przedewszystkiem można tu mieć na myśli ludność prawosławną t. j. kolonistów rosyjskich, mieszkających głownie wzdłuż kolei transsyberyjskiej. Księża tamtejsi w listach swych wspominają o wielkich owocach, jakich możnaby się spodziewać z pracy misyjnej wśród prawosławnych, szczególniej wobec obecnego upadku urzędowej Cerkwi prawosławnej, niestety brak sił i duchowieństwa nie pozwala na nią chwilowo. Przeważającą jednak większością ludności na Syberji są tubylcy, z pomiędzy których najwięcej mają znaczenia i są najliczniejsi Jakuci i Burjaci. Znane są te plemiona publiczności polskiej przez dzieła przymusowych wśród nich podróżników polskich, t. zn. zesłańców, Wacława Sieroszewskiego [1]) i Przecława Smolika [2]). W krótkości streścimy te wiadomości, patrząc na nie głównie z punktu widzenia ewentualnej pracy misyjnej wśród wyżej wymienionych plemion.

Jakuci, zamieszkują płaskowyż na płn. wsch. Syberji w okolicy Jakucka i Wierchojańska, nad Leną i Indygirką, na granicy tundry i tajgi. Pędzą żywot na pół koczowniczy, jako hodowcy bydła, koni i renów, oraz jako myśliwcy. Rolnictwem zaczęli się trudnić niedawno pod naciskiem rządu rosyjskiego i ciekawa rzecz, używają do obróbki ziemi sochy syberyjskiej, nader odpowiedniej dla tutejszych warunków, a wynalezienie jej tradycja przypisuje wygnańcom Polakom. Uboga i surowa przyroda skąpo żywi tamtejszych ludzi, to też bieda wśród Jakutów jest powszechna, kultura materjalna stoi też na bardzo niskim poziomie, jak świadczy o tem uboga jurta. W związku z tym jest zupełny brak zmysłu czystości, nigdy np. nie piorą bielizny ani odzieży; głównie wskutek niedostatecznego i złego odżywiania panują różne choroby, bardzo częstą jest gruźlica, trafia się trąd. Pod względem duchowym także uderza nas tu wielka nędza, niski poziom duchowego życia. Tak np. nie roztaczają oni żadnej opieki nad dziećmi ani moralnej, ani fizycznej, o jakiemś wychowaniu właściwie niema mowy. Dziecko dopóki nie nabędzie sił fizycznych, żyje jak zwierzątko, wyszukując sobie w jurcie resztek jedzenia, a później pracuje ciężko, bo na dzieci i kobiety spycha się co najprzykszejszą i najuciążliwszą pracę. Jeszcze gorszym jest los starców: własne dzieci ich biją, żałują im pożywienia, starzy rodzice kryją się stale w kątach jurty, poszturchiwani przez wszystkich, nie śmieją nawet pokazać się przy ognisku, gdy zgromadza się rodzina na posiłek. dopiero później pożywiają się resztkami. Często nawet się zdarza, że starców wyganiają z jurty do lasu, gdzie czeka ich śmierć z chłodu i głodu. Dawniej panował zwyczaj zabijania starców przez zakopywanie ich żywcem. Widzimy jak surowe i ostre są tam obyczaje, jakie nieliczenie się z duszą ludzką, widzenie wyłącznie potrzeb i korzyści materjalnych, słowem — brak kultury duchowej.

---

[1]) Dwanaście lat w kraju Jakutów.

[2]) Wśród wyznawców Burchan-Buddy.

Oficjalnie Jakuci wyznają chrześcijaństwo-prawosławie, ale dotychczas nie przeniknęło ono głębiej do ich dusz i nie odgrywa w ich życiu głębszej roli; poprzednio zaś byli szamanistami i wierzenia te tkwią w ich duszach nadal. Pomimo zakazów dawnego rządu rosyjskiego nie przestali istnieć szamani i szamanki, cieszący się uznaniem wśród ogółu. Szamanizm zaś w krótkości określić można jako religję czarodziejstwa, w której wiara w demony t. zn. duchy szkodliwe lub pomocne człowiekowi, przesłoniła kompletnie wiarę w Boga, spotykaną wśród wielu ludów pogańskich. Obrzędy wszystkie dadzą się sprowadzić do jednego, to jest do poddawania demonów woli ludzkiej i to poprzez różne czarodziejskie czynności. W ten sposób można demony unieszkodliwić lub też nakłonić do pomagania człowiekowi w jego przedsięwzięciach. Człowieka, który zna owe czarodziejskie czynności, komunikuje się z duchami i umie zyskać nad niemi władzę, zowią szamanem, a dzięki tej zdolności cieszy się on wielkim wpływem, wszyscy szukają u niego pomocy w trudniejszych okolicznościach życia. Wedle poglądów Jakutów każda choroba jest skutkiem działania demona, jedynie więc szaman może uzdrowić, zmuszając przez różne czarodziejskie czynności danego demona do ustąpienia.

Jakże więc biedną i przygniecioną jest dusza Jakuta, w niewoli, zda się, zupełnej, zależna od niewidzialnego świata złych duchów i najgrubszych wymagań ciała. Czyż nie obszerne pole dla pracy misyjnej?

Odmienne cokolwiek stosunki znajdziemy wśród Mongoło-Burjatów najżywotniejszego z pośród tubylczych plemion. Mieszkają nad jeziorem Bajkalskiem i w półn. Mongolji. O plemieniu tem wiele powie fakt, że z niego to wyszedł Dżengis-han, który stał się synonimem przemocy, okrucieństwa i dzikości, którego hordy przed kilku wiekami napełniły grozą i przerażeniem wszystkie ludy Europy.

Mongoło-Burjaci, pochodząc z nad granicy pustyni, ze stepów Mongolji, byli zawsze plemieniem koczowniczem; obecnie nad Bajkałem — pod wpływem kolonistów rosyjskich zaczynają trudnić się i rolnictwem, przewyższając w nim niejednokrotnie swych nauczycieli. Podobnie jak Jakuci mieszkają w jurtach, ale w obszerniejszych i lepiej zbudowanych.

(Dok. nast.) *M. B.*



Szaman.

MISJE NA ALASCE.



Eskimos w odświętnym stroju, udaje się na wizytę. Im zimniej, tem chętniej podróżują.



Misjonarka (Urszulanka) z dzieckiem eskimoskiem na ręku.



Eskimoskie dzieci z misji w Hot Spring na Alasce — urszulańskie uczennice — z łatwością przyswajają sobie naukę czytania, pisania i zajęć gospodarskich, z uczuciem śpiewają pobożne pieśni po angielsku i eskimosku — ale nadewszystko lubią zabawy na śniegu.

BIAŁY GOŁĄB — ZWIASTUNEM SZCZĘŚCIA.

(Dokończenie).

— Trzeciego dnia jednak — podjął gość raźniej — za łaską Bożą naprawiła się sprawa znakomicie. Oto pod wpływem wieści o rzekomym zgonie króla, zerwał się w wojsku srogi lament i głosy, pełne smutku:

— Prowadźcież nas — wołano — niechaj wszyscy zginiemy!

I poszli wszyscy pod Ostrzyhom, tuż przy Parkanach, dokąd ich poprowadził miłościwy nasz król. Toż przejęci radością i szczęściem, rzucili się dziarsko na Turka, i po dawnemu, na głowę go zbili. Wiktorja ona stała się niemniej głośna od tej odsieczy pod Wiedniem. Pod dobrą wróżbą szły tegoż dnia w bój polskie chorągwie: wskazywał im drogę śliczny, biały gołąbek, nad głową zaś króla jegomości krążył górnym lotem śnieżno-pióry orzeł, do ataku prowadząc.

Gdy Sierpiński skończył, zaległo dłuższe milczenie. Przerwała je Basia, pytając nieśmiało:

— Żali to prawda, jako król jegomość przystał do Austrji za namową swojej małżonki?

Rotmistrz spojrzał na nią zdumiony: zaskoczyło go bowiem ono pytanie, wychodzące z ust Basi.

— Tak, to prawda — potwierdził. — Jejmość królowa zagniewana jest na Francję.

— A z jakowej racji?

— Z tej, iż Ludwik francuski odmówił jej ojcu margrabiemu d'Arquien, książęcych tytułów. Tedy „Marysieńka, serce moje" — uśmiechnął się gość — zemściła się po swojemu.

— Niby jak?

— Odciągnęła króla jegomości od długoletniego układu z Francją.

Chorążanka zamyśliła się.

— Tak zwykło się dziać, gdy białogłowa pragnie przewodzić mężowi... — szepnęła.

Zdumienie Sierpińskiego rosło.

— Jakto?! zawołał, nie mogąc pohamować się dłużej. — Waćpanna to mówisz?

Rozmowa snuła się w osobliwym jakimś tonie. Odczuła to chorążyna, i wyszła z jadalni, nie chcąc przeszkadzać młodym.

Rotmistrz przeszedł się po komnacie gładząc wąsy, wesoło powiedział:

— Co prawda, ostatni kaprys Marji Kazimiery wielce się przysłużył cesarzowi Austrji, a co ważniejsze — okrył historyczną sławą naród polski.

Nastała cisza. Z powodu późnej godziny, świece dopalały się zwolna, rozpływając w księżycowym blasku.

Chorążanka i rotmistrz wpatrzyli się w okienne szybki, na które nocny mróz rzucił snop kwiatów, bajecznej piękności. Naraz zwidziało się Basi, że rozpoznaje w onej kwiatowej więzi liść paprociowy, pełen cudownych pąków.

Sierpiński tymczasem usiadł opodal, przeciągnął ręką po czole i cichym, stłumionym głosem, zaczął:

— Kiedyś, przed laty, zdeptano mi w oczach kwiat świętojański, kwiat szczęście wróżący... Toż mimo, że zamorskie zwiedziłem kraje, mimo, że przejechałem Ojczyznę wszerz i wzdłuż, a świeżo na sławę jej walczyłem, nigdzie nietylko szczęścia, lecz nawet spokoju nie przyszło mi zaznać...

Mówił to wszystko, nie patrząc na Basię. A ona siedziała cichutko, lękając się spłoszyć tej niespodziewanej spowiedzi... Tylko serce jej kołatało utajoną radością. Sierpiński odetchnął głęboko i mówił dalej:

— Dziwnego doznaję wrażenia w ostatnim czasie: ten biały gołąb, co uka-

zał się nam pod Ostrzyhoniem, nie schodzi mi odtąd z pamięci, nie schodzi z oczu i serca! W powrotnej drodze, nie wyłączając ostatnich godzin, wciąż trwałem w złudzeniu, iż srebrno-pióre ptaszę krąży to nademną, to nad gąszczem paproci...

Urwał, lecz po chwili dokończył z goryczą:

— Jeno, że gąszcz ów stratowały brutalnie końskie kopyta!

Basia słuchała blednąc, czerwieniąc naprzemian. Aż zauważyła lękliwie:

— Może... może któraś paproć nie była zniszczona doszczętnie... może tkwił w niej jeszcze zarodek życia... Kto wie, czyby kwiat szczęścia nie był odrodził się w całej pełni następnego zaraz ranka...

Wahała się przez mgnienie oka, zanim dorzuciła cichutko:

— Zniszczyła go raczej wtedy bezmyślna płochość dziewczęcia...

Sierpiński zerwał się z miejsca, obrzucił dziewczynę płomiennym błyskiem oczu i zaczął szybkim krokiem przemierzać salkę.

Zapanowało ciężkie, wyczekujące milczenie. Basia siedziała jakby przykuta do krzesła, zapatrzona w iskrzące się cudnie okna; rotmistrz chodził coraz wolniej wzdłuż komnaty, szarpiąc wąs nerwowo. Chwilami stawał, to spacerował znowu, jak gdyby nie mogąc się odważyć na krok stanowczy. Obawiał się może powtórnej odprawy...

Aż przykląkł przed chorążanką, ogarnął jej postać rozmiłowanem spojrzeniem i kładąc rękę na sercu, miękko zapytał:

— Zgodziłabyś się zatem, jedyna pani serca mojego, iżbyśmy szukali szczęścia na nowo?

Delikatna łuna opłynęła twarz i czoło Basi po rąbek jasnych włosów. Podając rękę rotmistrzowi, odrzekła z promiennym uśmiechem:

— Wstań, waszmość. Nie potrzebujesz szukać dopiero szczęścia... Wszak ono samo do nas przychodzi!

Wisława.

SPOTKANIE.

W. GERSON - J. CHEŁMOŃSKI.

(Dokończenie).

Podczas gdy Gerson pracuje w rodzinnej Warszawie, Chełmoński raz ruszywszy w świat szeroki, niesiony swym żywym, niemal niepohamowanym temperamentem, przenosi się z miejsca na miejsce, szukając sobie gruntu właściwego, szukając tematów do obrazów, któreby mu najlepiej odpowiadały.

Jest więc najprzód w Monachjum skąd pisze listy pełne tęsknoty do kraju. Całe szczęście, że w duszy głęboko i żywo uniósł wspomnienie przyrody polskiej, bo inaczej zamęczyłby się na śmierć.

„Tęsknota za naszem niebem i polami męczy mnie tu całą swoją siłą i jakbym czuł, że dłuższy taki pobyt tutaj, zabrałby mi to co teraz duszy jest życiem“. Pisze w liście do Gersona.

Ratuje się usilną pracą w Akademji. I ta jednak nie zawsze go zadawalnia.

— Wyżej! wyżej! — woła duch jego artystyczny — do granic możliwych i niemożliwych! do doskonałości! Prędko też młody Chełmoński zdobywa imię w koleżeńskiem kółku. Jego krajobrazy, pełne romantycznego nastroju, zdobywają mu miejsce odrębne i zaszczytne. Któż jak on umiałby wydobyć całą melancholję jesiennej zawieruchy lub cichej rozgwieżdżonej nocy letniej.



J. Chełmoński. Napad wilków.

Parę lat pobytu w Monachjum minęło prędko i oto pisze teraz z dalekiej Ukrainy:

„Już nie z tych niemieckich krain, ale z kresów piszę, objąłem tę służbę z wielką dla serca pociechą“.

Tak, nareszcie jest tu, dokąd ciągnął duszą i sercem, w kraju, wśród przyrody, którą ukochał, wśród bujnego kresowego życia, gdzie nie brakło mu typów ludzkich, koni psów, polowań, które z upodobaniem odtwarzał. Tam też podpatrzył te przepyszne ogniste trójki i czwórki koni, pędzące po śniegu lub po rozbłoconych drogach, tam zauważył typy ludzkie dziś już ginące, a tak pełne życia, werwy i fantazji. Szeregi obrazów, które dziś podziwiamy na wystawie tam, na dalekich kresach swój początek wzięły. Dzięki tym wywczasom mamy owe napady wilków, dojeżdżaczy, zajazdy na rozdrożach, targi i jarmarki, na których nie tylko ludzie, ale i zwierzęta, konie, psy, ptaki, wilki mają każdy swój wyraz i swój charakter.

Kilka lat spędza też Chełmoński w Paryżu. Francuzi stają przed jego obrazami, gdzie szalone czwórki zdają się rozsadzać ramy obrazu, dziwią się bogactwu typów przeróżnych, nieznanych zachodowi, trochę dzikich i tem ciekawszych. Te pasterki i pastuszkowie na pastwiskach, te idące przez łany żyta krasne dziewczeta, to nowy ton w malarstwie europejskiem.

„Monsieur Chełmoński“ staje się osobistością znaną w świecie artystycznym Paryża. O obrazy jego ubiegają się znawcy. Mógłby tam zostać i stać się sławnym i bogatym.

Nie został. Wołały go do kraju głosy kuropatw o zmroku, pachniały mu obrosłe trzciną moczary. Na małym folwarczku w pobliżu Warszawy prowadzi skromne życie drobnego rolnika i... wielkiego artysty.

Spuścizna artystyczna Chełmońskiego jest ogromna. Niezwykły ten artysta umiał i chciał pracować bez wytchnienia, a gdy mijamy te jego malowane poematy — te „Kaczeńce“, „Czajki“, „Mgły poranne“, „Świt“ — czujemy, iż nie tylko był artystą wielkim, ale i bardzo polskim.

* * *

I tak oto, po latach wielu, spotkali się znów pod jednym dachem nauczyciel z uczniem. Są razem jak niegdyś, są między nami żywi przez ducha swych dzieł, mówiący do nas językiem tak nam zrozumiałym i drogim.

M. Gerson-Dąbrowska.

PIERWSZA MIŁOŚĆ MARYNKI.

(Dokończenie).

Czasem dolatywały do Topolowa dalekie echa ze świata: Jedne jak złote ptaki radości, inne jak złowróżebne kruki: tu pan Tomasz pytał o Marynkę, tam opowiadał jakiś jego przyjaciel, że się w Marynce kochał, czy kocha — trudno było z opowiadania wymiarkować. To znowu mówiono, że się pan Tomasz stara o Elę, że już są po słowie.

A Marynka straciwszy już wszelką nadzieję, coraz częściej zwracała się myślą w przeszłość. Nieraz zamknąwszy na klucz drzwi swego pokoju, wyciągała z pod bronzowego medalu fotografję i pytała odartego papieru o tajemniczą zagadkę przeszłości.

— Ach! żeby choć wiedzieć — wiedzieć na pewno — że to co było — nie było jej złudzeniem, że te jasne, bezpowrotnie minione chwile nie były fałszem, ale jej własną, szczęśliwą miłością! Żeby go choć raz jeszcze zobaczyć i o to się zapytać. Zdobyłaby się Marynka na tę odwagę, byle wiedzieć na pewno.

Tymczasem stało się inaczej.

Nie zapomni Marynka tej chwili nigdy: siedziała w swoim pokoju i porządkowała jakieś papiery. Za kilka dni miano wyjechać z Topolowa. Do pokoju weszła mama. Podniosła oczy i uśmiechnęła się do mamy.

— Porządkuję moje papiery — powiedziała — pokazując stos listów i zeszytów, które trzymała na kolanach.

Mama zbliżyła się, oparła rękoma na niskim fotelu Marynki i schylając się, powiedziała cichym głosem:

— Wiesz Marynko, stało się wielkie nieszczęście.

Marynce serce zamarło w piersiach. Podniosła oczy, mama stała ciągle nachylona. Zegarek wypadł mamie z za paska i kołysał się na grubym, złotym łańcuchu.

— Wuj Kazio? chłopcy? — wyszeptała, nie wiedząc, z której strony dosięgnie ją cios. Była pewna, że ktoś umarł.

— Nie, ale wiesz kto zginął?

— Kto? kto? — Marynka starała się daremnie odgadnąć

— Pan Tomasz zabity.

— Pan Tomasz?

Marynka nie rozumiała. Ach prawda, przecież dawno spodziewała się, że mama przyniesie jej jakąś wiadomość o panu Tomaszu . Przecież wyglądała niespodzianki. Złoty łańcuch mamy kiwał się ciągle .

Mama obawiała się, że ta wiadomość bardzo Marynkę wzburzy. Teraz widząc ją spokojną, usiadła naprzeciwko i zaczęła opowiadać. Wiadomość jest z gazet. Bliższych szczegółów niema.

— Wolałam ci to powiedzieć sama, bo wiem, że swojego czasu bardzo ci się podobał.

— Ach tak, podobał mi się — dawniej.

Mama zupełnie uspokojona, wyszła z pokoju.

Marynka dalej układała listy .

A potem pamięta już tylko jakiś straszny, przeogromny płacz. Jakieś takie szlochanie, które jej serce z piersi wydzierało. Takie płakanie, od którego

dusza bolała jak otwarta rana. Pamięta, że leciała w czarną pustkę, w jakąś otchłań, jak grób straszącą. Pamięta, że gasły te ostatnie — niedorzeczne, a jednak życiodajne nadzieje, jak płomyki — ciężką, niemiłosierną stopą w wilgotną ziemię wdeptywane, że zamykało się straszne, trumienne wieko, nad tajemnicą przeszłości, unosząc na wieki w mrok śmierci odpowiedź na dręczące pytanie, czy jej jasna sielanka była miłością i prawdą, czy tylko igraszką i złudą...

V.

Śnieg iskrzył się w słońcu. Z olbrzymiej zakopiańskiej skoczni rzucali się w świetlaną przepaść ludzie-ptaki. Od olbrzymich nart i wyciągniętych do skoku rąk padały długie cienie i po błękitnym, wyświechtanym śniegu spływały w dół, jak wielkie, czteroskrzydłe cheruby.

Z obu stron skoczni roił się wielobarwny tłum. Grały w świetle jaskrawe swetery i szale, rozbrzmiewały okrzyki, nawoływania i śmiechy.

W środku wesołej grupy widzów stała rozbawiona pani Marynka. Ubrana w biały, trykotowy kostjum, w białe filce, pstrą czapeczkę i szalik — zwracała uwagę swą zgrabną i modną sylwetką.

— Nie pojmuję, jak można tak się rzucać z tej skały na złamanie karku.

— A ryzyko — a sport? — tłumaczył pan Józef.

— Dziękuję za takie ryzyko. Ładny sport: zabić się.

— Czy pani znajduje, że życie jest znowu takie cenne? Chyba pani nie doznała w niem nigdy zawodu — wygłosił sentencjonalnie pan Witold, patrząc rozmarzonem okiem na jasną postać pani Marynki.

— Czy ja wiem? nie mam czasu zastanawiać się nad tem.

— To pani jest bardzo szczęśliwa, jeśli pani nie zwraca się myślą w przeszłość — ciągnął melancholijnie pan Witold.

— Poco myśleć o przeszłości: było, minęło, nie wróci się. Nie lubię takich sentymentalnych rozczulań.

— Pani jest bardzo „moderne“, jak widzę — wtrącił się do rozmowy pan Józef. — A jednak, czasem takie sięgnięcie myślą w przeszłość tłumaczy nam wiele rzeczy, tłumaczy, nam samych siebie. Od nawiązania nici do przeszłości zależy cały nasz stosunek do przyszłości — cała nasza w nią wiara.

— Ech, gadanie! — żachnęła się pani Marynka — przeszłość jest mi obojętna, nie dbam o nią ani o żadne wspomnienia, a w przyszłość i tak wierzę. To co było wyrzuciłam już dawno za nawias życia, jak niepotrzebny balast i właściwie wszystko mi jedno czy tam kiedyś było tak, czy inaczej.

— A jednak — bronił praw przeszłości pan Witold — są w życiu chwile niezapomniane — są uczucia, które się do śmierci przechowuje i pielęgnuje.

— Ręczę panu, że żadnych uczuć nie pielęgnuję, żeby jeszcze dawne uczucia pielęgnować, gdzież byłoby miejsce na nowe?

— To rozumiem, to rozsądne zapatrywania — śmiał się zbliżając się do Marynki jej kuzyn Janek. — No, rozsądna i trzeźwa Marynko, czy już wracasz? Czy mogę ci ofiarować miejsce w moich sankach?

— Nie, dziękuję. Przyjechałam tu z Hanką, muszę ją odszukać.

Pani Hanka stała trochę opodal, nie biorąc udziału w ożywionej rozmowie Marynki.

— Hanko, jedziemy, dobrze?

Obie panie zatuliły się w wielkie futra i góralskie sanki ruszyły raźno ku Zakopanemu.

Hanka i Marynka spotkały się po wielu, wielu latach niewidzenia w Zakopanem. Widywały się często. Łączył je ten dziwny stosunek osób, które były sobie kiedyś bardzo bliskie, a teraz nie mogą się odnaleść w tych samych, a jednak zmienionych twarzach i duszach.

— Wiesz, Marynko, że ci zazdroszczę, że możesz tak rzeczywiście żyć tylko

teraźniejszością i przyszłością. Czy ty to naprawdę myślisz, coś mówiła tym panom?

— Tak, zdaje mi się, że naprawdę... choć czy ja wiem... jak ciebie widzę to porusza się we mnie tyle rzeczy, niby dawnych, minionych, a czy ja wiem czy zapomnianych? Kto wie, może nawet nieobojętnych...

— Pewnie, tyle, tyle wspomnień! pamiętasz Lwów, karnawał? biedny Tomek — on cię tak lubił...

W sankach zapanowało długie milczenie; słychać tylko było brzęk dzwonków i skrzypienie śniegu pod płozami.

— Tak, pan Tomasz — nie, tego nie zapomniałam — odezwał się przyciszony głos Marynki.

I z nagłą determinacją zwróciła się Marynka do Hanki:

— Hanko, czy ty wiesz, że tak bardzo twego brata kochałam?

— Domyślałam się tego, Maryneczko.

I znowu w mroźnem powietrzu drżał odgłos dzwonków; na zarumienionem niebie rysował się coraz wyraźniej nudny profil Giewontu.

Marynka patrzyła w twarz Hanki w pełnem nadziei i trwogi oczekiwaniu.

Ale Hanka spoglądała w dalekie, gorejące szczyty i milczała.

I trzeźwej, rozsądnej, nie dbającej o wspomnnienia pani Marynce zamarło na ustach dalsze pytanie.

Zapatrzyła się w mrok pełznący z głębi leśnych regli ku jasnym szczytom. Czuła, że dobrowolnie zapuszcza zasłonę na tajemnicę swej pierwszej, wiecznie i wbrew wszystkiemu, ufającej miłości.

Zofja Morstinowa.

WRÓŻBY.

Zakochała się — często sama nie wie, ani kiedy, ani dlaczego... smutno spuszcza główkę, zakrywa twarz rękami i mówi sobie co to będzie? Książka leży otwarta na kolanach, a duże oczy patrzą z zadumą przez okno na zieleniejący ogród. — Marzenia, marzenia, marzenia...

Zakochała się — nie wie czy on ją kocha — kogo się spytać? Pójdzie do wróżki — ona jej powie jej przyszłość, jej los...

Ile jest natur, ile młodych dziewcząt, każda inaczej, każda po swojemu kocha, walczy o szczęście. I nie będziemy wdawali się w ocenę, tych tak różnych wypadków — przypatrzymy się tylko wędrówce jednej z nich, która chciała przejrzeć przyszłość — przejrzeć tajemnicę cudzego serca — usłyszeć wyrok z ust wróżki.

— — — — — — — — —

— Mieszka na czwartem piętrze, na Moniuszki — wiesz ten narożny, czerwony dom. Zapukasz trzy razy, spytają się do kogo. Powiedz, że do „Turczynki".

— Dobrze. Rozumiem. Po obiedzie tam będę.

Otwiera gruba pani w czerwonej bluzie ze sznurem płomiennych bursztynów na szyji.

— Pani po wróżbę? To proszę za mną.

Ciemny pokój — na środku stół z flakonem sztucznych, czerwonych georginij; brudne karty, kilka kamieni-amuletów.

Proszę przeciąć te talje ku sobie, trzy razy, tak, dobrze — pani jest zakochana — widzę po pani rumieńcu, że tak jest, widzi pani, że ja jestem jasnowidząca. Tu u mnie zwykle taki tłok, miała pani szczęście, że się pani dostała. Tak, stoi w kartach wielka miłość. Pani się kocha w blondynie — nie? Chciałam powiedzieć, że

on jako dziecko miał jasne włosy. Teraz jest brunet — stoi koło pani brunet. Czy pani chodzi o przyszłość czy o teraźniejszość — co jest dla pani tajemnicą bardziej niepokojącą w tej chwili? Mówi pani teraźniejszość. Niech pani nic nie pyta — ja powiem sama, co stoi w kartach. Pani nie jest pewna, czy on panią kocha — raz — dwa — trzy — to jest pani wielką troską. Widzę, widzę, w kartach, on ma w sercu kobietę — może to pani. Ale proszę uważać, na drodze życia stoi przewrotna szatynka. Zna ją pani, prawda? Ona udaje tylko przyjaźń...

I jeszcze dowiaduje się klientka, że jeśli nie wyjdzie za bruneta do lat trzech, to wyjdzie za blondyna, że dostanie list 7 grudnia (wilja imienin jej — imię powiedziała), że ma się strzec wody, że albo była, albo będzie chora.

I wychodzi po chwili, ogłuszona, przerażona. Jedno tylko zapada głęboko w serce: że Irenka, która ją ze Stachem zapoznała i miała pecha być ładniutką szatynką, jest przewrotna. Na poczciwe pytania i zaprzeczenia Irenki jest już tylko w odpowiedzi sarkastyczny uśmiech.

— W kartach stało, że „blondyna“ już zna, że jest doktorem, że się w niej kocha. Jedynym znanym jej doktorem, blondynem jest starszy przyjaciel rodziny pan Jerzy. Uśmiecha się do niego z pewnem zażenowaniem, a jednak pewna siebie. Mówi „znaczące“ uwagi. Po jakimś czasie pan Jerzy ma tego dosyć. „Zwarjowała dziewczyna“ myśli i przestaje się do niej zwracać. „Miała rację wróżka“ tłomaczy sobie nasza bohaterka — „zazdrosny jest biedak o Stacha“.

I płynie życie pod znakiem „wróżby“, a Stach znudzony ciągłemi przycinkami o „przewrotnej szatynce, którą ma w sercu“ coraz to rzadziej się pokazuje. Podobała mu się — ale teraz doprawdy już woli spokojną Irenkę.

Nikt przecież nie wie co wróżka powiedziała!

— — — — — — — — —

A przy dobrej kolacji mówi wróżka do swojej siostrzenicy, która ma otwierać na siebie „interes wróżbiarski“ pod pseudonimem „Prawda“.

— Mów zawsze, że przewrotna kobieta jest szatynką, bo szatynek w Polsce najwięcej, najłatwiej trafisz. Po drugie, zawsze zaczynaj od tego, że się kocha w blondynie: łatwiej potem powiedzieć, że mu włosy pociemniały, niż przeciwnie.

— Dobrze ciociu — mówi „Prawda“ — zajadając z apetytem kiełbasę.

I. S.

MOJE PIERWSZE PIENIĄDZE.

Co za straszna choroba ten brak „floty“. Nie trzeba studjować medycyny, żeby móc powiedzieć, że 99% ludzi jej podlega, a kto wie, czy i ci setni nie noszą już jej zarazków w swoich kieszeniach.

Marzeniem mojem było mieć własne pieniądze, a tymczasem mówiono mi, że dostanę je dopiero wtedy, gdy zacznę chodzić do szkoły. Czekanie było zbyt długie, bo miałam tysiące potrzeb i pomysłów, na których zaspokojenie musiałam mieć choć trochę grosza.

Nie mogę powiedzieć, żeby mi brakło rzeczy koniecznych, lub żeby ciotka, u której się wychowałam, nie dbała o moje przyjemności. Przeciwnie, miałam wiele swobody i wiele rzeczy, których inne dzieci w moim wieku nie posiadały. Należał do mnie malusieńki ogródek, miałam śliczną siatkę na motyle, w którą częściej jednak chwytałam gruszki i jabłka, niż pawiki czy admirały — ale to wszystko ustępowało wobec pragnienia posiadania choćby kilkudziesięciu własnych groszy.

Pewnego dnia ciocia oznajmiła mi:

— Moja Olu, jesteś już taka duża, że powinnaś uczyć się języka francuskiego, ortografji, gramatyki i płynnej konwersacji.

— Tak, — odpowiedziałam cicho, ale ujrzawszy w myśli straszny wyraz „Grammaire", nie miałam siły zachwycać się projektami cioci.

— A więc ubierz się, Olu, pojdziemy do p. Bronickiej, która podjęła się lekcyj z tobą.

Czułam, że ciocia ma rację, alo byłabym chętnie wymyśliła cokolwiek, żeby uważać się za pokrzywdzoną i najniesłuszniej pozbawioną swobody i wolnego czasu. Niestety prawda była zbyt oczywista! Ubrałam się przeto, wśród ciężkich westchnień zapinając guziki płaszczyka i wyruszyłam w drogę razem z ciocią.

P. Bronicka powitała ciocię miłym uśmiechem, wyrażając przy tem radość z powodu ujrzenia mojej osoby i wielkich nadziei, jakie rokowała moja niezwykle inteligentna fizjognomja.

Pokochałam wkrótce moją nauczycielkę, bo była bardzo dobra i wyrozumiała.

Pewnego dnia stałam z ciocią na podwórzu, gdzie przechadzało się kilkanaście kur.

— Tyle tych kur! Chętnie wzięłabym jedną pod moją opiekę — odezwałam się nieśmiało.

Ciocia zrozumiała moją prośbę i ofiarowała mi kurę szarą, z białem podgardlem.

— Cip, cip, cipuchna!...

Ale „cipuchna" nie miała do mnie zaufania.

Na drugi dzień rano przyszła do mnie Marysia z podwórza.

— Panienko, a co zrobić z jajkiem?

— Jakiem jajkiem?

— Adyć od panienki kury.

— A bo ja wiem. Niech Marysia sobie zrobi jajecznicę.

— Kieby pani widziała, toby było!

— To niech Marysia da pani to jajko.

— Kiej to panienczyne.

— To niech Marysia schowa je w sianie w słomie, dzie Marysia chce.

— Niech tak będzie.

Marysia odeszła, a mnie nagle przyszedł świetny pomysł. Sprzedać! Będzie flota! Pysznie! Ale jak to zrobić? Wstydziłam się iść do cioci z podobną propozycją, wogóle nie chciałam się zdradzać z moim pomysłem.

Tymczasem należało iść na lekcję francuskiego. W bramie domu p. Bronickiej zobaczyłam niewielką postać otuloną w brudną chuścinę, z koszykiem jaj w ręku.

— Mała, po czemu jajka?

— Po dwadzieścia. chce panienka?

— Nie, chciałam tylko wiedzieć cenę.

Pobiegłam na górę, a po zwykłem powitaniu spytałam jakby od niechcenia.

— Czy pani kupowała jajka u tej dziewczynki, którą spotkałam w bramie?

— Tak, ale takie drogie! żeby choć po ośmnaście groszy, ale to po dwadzieścia!

— Proszę pani, jabym mogła dostarczyć jajek po osiemnaście groszy.

— A to skąd?

— Bo ja, proszę pani, ja mam kurę...

— Ach, tak, masz kurę, Olu? No, to bardzo chętnie.

W dwa dni potem pędziłam na lekcję z dwoma jajkami w kieszeni. Zapomniałam o słówkach, tylko tworzyłam w myśli olbrzymie sumy, które wyrastały z 18 mnożonych przez 2, przez 10 w nieskończoność.

Wpadłam na schody, zadzwoniłam z bijącem sercem czekając na otworzenie drzwi, włożyłam rękę do kieszeni.

Co za okropne uczucie!... Coś śliskiego, lepkiego okleiło mi palce, — wyciągnęłam rękę z przerażeniem — jajecznica!...

W tej chwili drzwi skrzypnęły. Z pośpiechem starałam się wymacać drugie jajko. Co za szczęście, ocalało wtuliwszy się w chustkę do nosa! Idąc do pokoju, wycierałam z pośpiechem palce i z miłym uśmiechem podałam p. Bronickiej ocalone jajo.

Rozpoczęła się lekcja, podobna do mąk Tantała. Pióro przyklejało mi się do palców, a wspomnienie jajecznicy dręczyło mnie ciągle.

Nareszcie skończyły się tortury, p. Bronicka przyniosła mi osiemnaście groszy, a ja z wypiekami na twarzy wybiegłam na schody.

Nie czułam już pociągu do własnych pieniędzy, a poklejone palce i jajecznica w kieszeni pozostały mi na zawsze w pamięci.

S. B.

RÓŻNE WIADOMOŚCI.

Dzieci szkolne w St. Zjednoczonych złożyły 3 miljony centów celem uczczenia przyjaźni Waszyngtona z Tad. Kościuszką. Roczny dochód od tych 30 tysięcy dolarów zebranych z jednocentówek, ma umożliwić co rok studja jednemu amerykańskiemu uczniowi w wyższym zakładzie naukowym w Polsce, lub jednemu Polakowi w amerykańskich uczelniach. Uczeń taki nosić będzie nazwę „ucznia Jerzego Waszyngtona". Wszystkie amerykańskie szkoły publiczne i prywatne współpracowały w tej zbiórce.

Fundacja Kościuszkowska, założona celem popierania myśli i zbliżenia kulturalnego między Ameryką a Polską istnieje już od dwóch lat.

W Chinach zmarła niedawno **ś. p. Matka Marja Relinda Franciszkanka Misjonarka**, rodem z Krakowa. Młodo wstąpiła do zakonu i po kilku latach prac przygotowawczych w kraju, wysłaną została na upragnioną placówkę bojowników Kościoła, do Chin. Rozległą działalność roztaczała jako przełożona zakładu misyjnego w Kianchao.

Zjazd polsko-katolicki. W Bytomiu odbył się dn. 25. IX. zjazd delegatów Stowarzyszeń Młodzieży Polsko-Katolickich w obecności około 1.200 osób. Zjazd wystosował depeszę hołdowniczą do księdza biskupa wrocławskiego kardynała Bertrama, w której prosi o udzielenie błogosławieństwa zjazdowi i zaprzysięga wierność wierze katolickiej.

Antypojedynkowa akcja we Włoszech. Dzięki nowemu kodeksowi karnemu, mającemu wkrótce wejść w życie we Włoszech, pojedynki prawdopodobnie ustaną zupełnie, a w każdym razie należeć będą do wielkich rzadkości. Dla wyzywającego przewidziana jest grzywna w rozmiarze 2.000 lir. dla schwytanych na placu spotkania — pół roku więzienia, a 5 lat, jeśli wynik pojedynku będzie śmiertelny. Nawet sekundanci, nawet ludzie roznoszący wieści o pojedynku, skazywani będą bezlitośnie na zamknięcie w więzieniu. Surowe kary grożą również i tym, którzy ujemnie odzywać się będą o człowieku, odmawiającym dania zadośćuczynienia z bronią w ręce. Stanowczość Mussoliniego spotkała się z największem uznaniem w całych Włoszech.

Uczeni francuscy, Claude, Boucherot, przedłożyli niedawno Akademji francuskiej nowy projekt zdobywania tanim kosztem użytecznej energji. Wpadli oni na pomysł, czy nie dałoby się przemienić na energję mechaniczną ciepła, zawartego w wierzchnich warstwach mórz podzwrotnikowych, gdzie temperatura utrzymuje się stale na 28°—30°, podczas gdy w głębi mórz wynosi ona 4°–5°. Różnica tych temperatur, wedle obliczeń teoretycznych, powinna okazać się wystarczającem źródłem pracy. Doświadczenia stwierdziły z nadspodziewanie dobrym wynikiem te przypuszczenia — woda ogrzana do 28°, przez zmiejszenie ciśnienia doprowadzoną została do wrzenia — para poruszała turbiny dynamomaszyny. Uczeni ci mają zamiar zbudować maszyny, odpowiednie do wykorzystania tego nowego źródła energji. Jak doniosłe następstwa może mieć ten wynalazek, przyszłość okaże.

Wśród ostatnich walk w okolicach Nankinu runęła w gruzy słynna **wieża porcelanowa**, pomnik i symbol dawnej świetności Chin. Stawiana przez lat dwadzieścia, ukończona w 1430 r. była zbudowana z cegły i obłożona z zewnątrz płytami porcelanowemi o przepysznych barwach. Dochodziła do 261 m. wysokości. Na każdem z 4 pięter posiadała wspaniałe komnaty, malowane, złocone, zdobione posążkami bóstw. Ukoronowaniem wieży była kula złota, pod nią umieszczona była ogromna kula żelazna, zawierająca w swem wnętrzu skarbiec mnichów buddyjskich, właścicieli tej dziwacznej dla nas budowli.

Tyrol, Szwajcarję i północne Włochy nawiedziły katastrofalne powodzie, wskutek wezbrania rzek górkich oraz gwał-

townych burz. W pobliżu Innsbrucka woda zalała olbrzymie obszary, wtargnęła nawet do miasta. Wysłany na pomoc ludności pociąg ratowniczy, runął do rzeki wskutek podmycia toru. Wiele ofiar w ludziach.

WŚRÓD KSIĄŻEK.

Jerzy Gutsche, mgr. praw.: „Na drogę akademickiego życia". Książka dla maturzystów, akademików i rodziców. — Nakład Księgarni św. Wojciecha. Poznań — Warszawa — Wilno — Lublin. — Str. 90. Cena zł. 2.

Autor przeznaczył książkę dla maturzystów, opuszczających szkołę średnią i zastanawiających się nad sprawą wyboru zawodu. Szczegółowemu rozważaniu poddano w tej pracy zawody, osiągane na podstawie dyplomów wyższych zakładów naukowych. Jest to informator praktyczny, ułatwiający młodzieży zorjentowanie się w zadaniu i organizacji studjów wyższych i w wyborze zawodów t. zw. akademickich. Poza tem uwzględnił autor zagadnienie i metody pracy umysłowej, wyższych studjów kobiet, racjonalnego czytelnictwa, organizacyj akademickich i t. d. Załączony został również spis wyższych zakładów naukowych w Polsce.

Napisana objektywnie, żywo i popularnie, książka wypełnia dotychczasową lukę w tej dziedzinie, a przystępna cena pozwala jej spełnić swe zadanie.

Klemens Junosza: „Abram Pinkt i Mateusz Sikora". Dwaj filozofowie. Nowela. Nakładem Księgarni św. Wojciecha. — Poznań — Warszawa — Wilno — Lublin. Cena 1 zł. 70 gr.

Dobrane typy: pasera i kłusownika, doskonale podpatrzone przezJunoszę. Dobrze, że je wydobyto z lamusa zapomnienia. Nieco humoru, zwłaszcza scena, gdy obaj sojusznicy znajdują się w wilczym dole, budzi uśmiech wesoły. Autor nie zrzędzi, nie piorunuje, nie wzywa na trwogę, ale pozostawia na scenie samych bohaterów: kłusownika-chłopa i pasera-żyda. Ci działają, toczą rozprawy i okazują swoją umysłowość przed kołem czytelników. Jest to jeden kącik z wielkiej panoramy stosunków wiejskich z przed pół wieku, mimo zmian wielkich zaszłych w Polsce, jeszcze żywy i zawsze ciekawy.

NASZE SZKOŁY.

Gimnazjum SS. Urzulanek w Poznaniu.

WSPOMNIENIE Z POKRZYWNA.

Z upragnieniem oczekiwały wychowanki SS. Urszulanek wiadomości o dniu poświęcenia domu nowicjatu dla całej prowincji polskiej zakonu SS. Urszulanek. Już od dwóch lat słyszały one co pewien czas „Matki wyjechały do Pokrzywna", i zdawało się im, że ta miejscowość to jakaś otchłań, zabierająca im raz po raz kochane opiekunki, starsze z nich wiedziały, że w tym gmachu klasztornym zamieszkają te, które przygotowywać się będą do kształcenia w przyszłości młodych umysłów i podnoszenia do Boga gorących serc. A wszystkie oczekiwały chwili, kiedy mogłyby zobaczyć ten gmach, wyśniony przez nie jako potężna opoka, na której mogłyby się wspierać zwątpiałe dusze i gdzie zakosztować miały szczęścia te, ktore Bóg ukochał szczególniejszą miłością.

Nadszedł wreszcie oczekiwany z niecierpliwością dzień 28-go sierpnia. Zajaśniał cudny błękit nieba, nieprzysłoniętego najmniejszą chmurką, słońce uśmiechało się filuternie, jakby ucieszone radością, jaką ludziom zgotowało.

Około 9-tej rano widać było dużo osób idących,

czy jadących samochodami lub powozami w stronę Pokrzywna.

Najwięcej dawnych wychowanek, chcących pogwarzyć z sobą i podzielić się wrażeniami udało się, dzięki łaskawości Sióstr, zamówionemi autobusami.

Dziwne wrażenie wyniosłby obcy widz, gdyby zajrzał w głąb jednego z takich autobusów, ujrzałby tu i staruszki pochylone ku ziemi, mające może już i wnuczki w klasztorze i panie w średnim wieku, przybyłe z córkami — obecnemi wychowankami urszulańskiemi i te, które niedawno opuściły ukochany klasztorek i te malutkie, które korzystać miały z nauki Sióstr-mieszkanek klasztoru w Pokrzywnie. Różnica wieku nie psuła harmonji, panującej wśród zebranych, ani wesela, tryskającego z młodziuchnych twarzyczek.

W kilkunastu minutach przejechano miasto, zamigotały w oddali wieże katedry, pozostawiono poza sobą kościółek św. Rocha i wjechano w pola, ogołocone już ze zbóż, tylko jeszcze od czasu do czasu można było spostrzedz jesienne kwiaty, połyskujące w ogrodach i nie zebrane jeszcze jarzyny obok grząd ziemniaków. Autobus jechał spokojnie po szerokiej, ubitej drodze, a wśród jadących nie ustawały śmiechy i żarty. Naraz auto wjechało do małej wioski Żegrze i tu dopiero pokazało na kamiennej drodze wszystkie swoje sztuki i harce. Wkrótce skręciło na mniejszą drogę.

— Już widać klasztor! zawołała jedna z najmłodszych wychowanek i wszystkie twarze skierowały się w stronę, gdzie widniał ogromny gmach. Jeszcze kilka chwil i auto przejechawszy bramę, stanęło przed wspaniałym domem, zabezpieczonym przed oczami ciekawych wysokim murem. Słowom zachwytu nie było końca i trwały one jeszcze, gdy podróżniczki wysiadłszy, skierowały się ku zakonnicom, oczekującym przed schodami, prowadzącemi wprost do kaplicy. Po przywitaniach z dawno niewidzianemi Mateczkami weszły przybyłe do dużej, jasnej kaplicy i zająwszy klęczniki pogrążyły się w głębokiej, dziękczynnej modlitwie.

W pół godziny po przybyciu na miejsce pierwszego autobusu rozbrzmiały organy i z chóru spłynęła pieśń: „Ecce Sacerdos magnus" — witająca J. E. Ks. biskupa Radońskiego sufragana poznańskiego. Po krótkiej, cichej modlitwie Ks. biskup ubrany w uroczysty swój strój przemówił od ołtarza do zebranych, biorąc za motto słowa wyjęte z Pisma św.: „Mądrością zbudowany został dom, a roztropnością będzie umocniony". Wskazał na znaczenie nowicjatu, umieszczonego wśród ciszy wiejskiej; następnie krótko ujął dotychczasowe zasługi zakonnic, troszczących się o budowę, a potem wskazał na pracę, jaka jeszcze je czeka w przyszłości. Po przemówieniu dokonał właściwej ceremonji poświęcenia klasztoru. W czasie Mszy św., odprawionej przez Ks. biskupa pieśń: „Niech dziś z naszych serc i dusz", ulatywała rzewną modlitwą do Pana Zastępów. Słowa: „Jezu chcemy, choć przebojem wiernie stać przy Sercu Twojem" zdawały się powtarzać wszystkie usta.

Gdy Ks. biskup opuścił kaplicę, zgromadzono się przed gmachem i rozmowy byłyby może trwały bardzo długo, gdyby nie serdeczne zaproszenie na śniadanie. Gości było tak wiele, że młodsze zajęły refektarz zakonny ku wielkiemu przerażeniu niektórych Mateczek. Jakie kaskady śmiechu płynęły z obu sal, w których zasiadły dawne wychowanki i gronko najmłodszych, wyobrazić sobie może tylko ten, kto zna tryskające wesołością uczennice naszych szkół. Najwięcej rozprawiano o dawnych czasach, przypominano sobie różne sprawki, dopytywano się o zmiany jakie zajść miały w szkole, a wszyscy zachwycali się gościnnością Mateczek, które rade byłyby ściany domu rozszerzyć, aby miłych gości pomieścić. W końcu trzeba było się żegnać, dziękując gorąco za jasne chwile, spędzone w tak miłej atmosferze. Niejedno serce może zabiło większem zrozumieniem dla pracy wychowawczyń, a z wielu ust słyszeć się dało: „Ach, żeby tu można zostać!" I kto wie, czy wśród zgromadzonych nie znajdowała się jakaś przyszła podpora klasztoru...

Z żalem żegnano to miłe zacisze i te, które uprzyjemniły nam kilkugodzinny pobyt i wlały w niejedno zwątpiałe serce nową chęć do pracy i walki z przeciwnościami życia.

„Fiołek leśny".

OD REDAKCJI.

Z wczesnego dzieciństwa pamiętacie pewno bajki o „zatopionem królestwie". — Śniło się ono wam w nocy i na jawie słonecznych dni, a w główce siedmio czy dziesięcioletniej powstawały nowe pomysły, nowe cuda. Bywałyście zwykle bohaterkami tych marzeń, w rękach waszych spoczywały rządy państwa, i wszystko rozwijało się pomyślnie. Królestwo wydobyto z mor-

skiej toni — a na lądzie stałym płynęło życie szczęśliwe — bez końca...

Minęły lata dzieciństwa. Stare książki pył przyprószył, a nowe zainteresowania zajęły miejsce baśni.

Niekiedy jednak wspominacie z uśmiechem te czasy, jako coś, co było, przeszło i nie wróci...

A jednak... Zdziwicie się może, gdy wam powiem, że bajka o zatopionem królestwie jest prawdą — że trwa ciągle i trwać może do końca waszego życia.

Każdy człowiek ma w swym ustroju duchowym szereg niespodzianek — świat skarbów, o którym nie wie, że istnieje, świat sił, mocy, wytrwałości, uzdolnień, świat, którego nie wydobył jeszcze z swej głębi i nie spożytkował.

Nie wystarcza snuć baśni — trzeba świat ducha z toń zapomnienia i bezczynności poruszyć, — pozwolić mu działać.

Sprawdzą się wtedy marzenia dziecinne: staniecie się bohaterkami codziennych, na pozór nie znaczących wysiłków, posiądziecie panowanie nad duszą, ze wszystkiemi jej przymiotami i wadami, ze wszelką jej siłą i słabością. Może otoczenie wasze nie oceni trudów, nie podsyci próżności pochwałami, ale czemże to jest wobec niezachwianej pewności, że Bóg każdy krok nasz liczy, wobec zadowolenia, że zdobyłyście władanie na tem, czem trudniej rządzić niż królestwem — nad sobą!

A więc **Koniczynko** nie rozpaczaj — do takiej pracy wystarczą siły i chorych, i słabych, i młodszych, i starych. — Nie lękaj się „sfery nadprzyrodzonej". Tyle naszego, co stamtąd weźmiemy, lub tam umieścimy. To najbezpieczniejsza lokata kapitału.

Zamiast długiego listu — zapraszam na pogawędkę w redakcji.

Rycerko Złotego serduszka, twój przemiły liścik wiele mi sprawił radości. Tak — szerzcie wesele i hart ducha. — „Wartę" użyję wedle życzenia.

Zawierucho, za życzenia dzięki. „Mój Światek" posyłamy abonentkom „Dziś i Jutro" za dopłatą 1 zł. 20 gr. do końca 1927 r. lub 15 gr. za numer pojedyńczy. Rebusy przejrzymy. Czy się nadadzą — zobaczysz.

Długo milczącemu **Echu** za list dziękuję i oczekuję wiadomości z nowej szkoły.

Hanko P. z Kozienic. Jakiż jest wynik twego zastanowienia się nad poruszoną w poprzednim numerze kwestją marnowania drobnych chwilek? — Pisuj do Gawęd, ale na oddzielnych kartkach, nie w liście do redakcji i wybierz inny pseudonim. Ten zbyt podobny do używanego przez inną czytelniczkę.

Fijołku leśny — za oba listy — dzięki. Gdy otrzymam więcej „projektów" na zapełnianie wolnych chwil, to podzielę się z Wami temi pomysłami.

Jadziu P. Za opis kolonji i ładne zdjęcia bardzo dziękuję. Ukażą się niedługo w „Dziś i Jutro".

Za staniol i znaczki na rzecz misji wszystkim ofiarodawcom — Bóg zapłać! — **Loczek** pod względem hojności jest jeszcze ciągle w pierwszym szeregu. Ciekawa jestem kto go prześcignie?

A czy o powodzianach we wsch. Małopolsce pamiętacie? — Tyle tam ludzi bez dostatecznej odzieży i pożywienia — a zima się zbliża... Jeśli nie wiecie jaką drogą przesłać wasze ofiary — to nasza redakcja chętnie pośredniczyć będzie.

GAWĘDY PRZYJACIELSKIE.

(Rubryka ta zawiera swobodną wymianę myśli młodych czytelniczek (młodzieży uczącej się). Zwolenniczki jak i przeciwniczki zdań przedkładanych mogą tu głos zabierać. — Przy odpowiedziach należy podawać oprócz pseudonimu adresatki, także ***numer*** *listu, na który się odpowiada)*.

370. Salve, radosny **Wykrzykniku.** Długo nie dawałam znaku życia, bo uczyłam się zagranicą całą zimę i dopiero teraz do „Gawęd" powrócić mogłam. A teraz na mnie kolej spytać się czemu od tak dawna się nie odzywasz?

371. Porozumiewawcze mrugnięcie zasyłam **Księżniczce Złotowłosej;** jeżeli nie jesteś pewną, bardzo dobrze mi znaną osóbką,